

Lewicy rok 01: zatrzymać się i pomyśleć

15 marca 2008

Wyborcza katastrofa roku 2007 rozwiązała iluzje zrodzone po zwycięstwie „nie” w referendum 2005 i obnażyła rozmiary kryzysu, w którym pogrążona jest francuska lewica. Jego początkiem była porażka, która nastąpiła bezpośrednio po zwycięstwie z roku 1981. Zmuszona do porzucenia swojego programu, po dwóch latach rządzenia potem już nie zaproponowała niczego w zakresie polityki społeczno-ekonomicznej. W najlepszym razie lewica realizowała neoliberalizm w sposób pozbawiony entuzjazmu, a jej dyskurs stał się czysto moralizatorski, podkreślający „wartości” antyrasistowskie, feministyczne, antyfaszystowskie i tym podobne, które miały odróżniać ją od prawicy.

W istocie rzeczy, jedna z nielicznych inicjatyw lewicy polegała na zaangażowaniu się w „konstrukcję europejską”. Ta zaś skutkuje przede wszystkim likwidacją wszelkiej alternatywy dla neoliberalizmu. Zieloni i socjaliści popierający projekt europejski w imię swoich pryncypialnie „antynacjonalistycznych” zasad, przygotowali jednocześnie strukturę instytucjonalną mającą ich chronić przeciwko ich własnym ekscesom lub raczej ekscesom ich społecznej bazy. Pomysł polegał na izolowaniu procesu politycznego od wpływu wyborców, powierzając większość decyzji niewybranej biurokracji, podatnej na presję rozmaitych grup prywatnych interesów. Wybory wciąż mogą się odbywać, ale ich znaczenie jest bardzo ograniczone: nie mogą przynieść żadnej istotnej propozycji alternatywy politycznej, żadnego „New Deal”, żadnej „reformy strukturalnej”, żadnego „wspólnego programu lewicy”, żadnej „włoskiej drogi do socjalizmu”.

Nic dziwnego, że w tej grze wygrywa najtwardsza prawica. Dysponuje ona własnym językiem „wartości” – dyscyplina,

porządek, naród etc., który jest bardziej popularny niż lewicowy język troski o mniejszości. Przecież dyskurs wartości ma najczęściej tę funkcję, że pozwala swym głosicielom na dobre samopoczucie małym kosztem, nie pytając o naturę stosunków sił panujących w świecie. Większości ludzi o wiele łatwiej poczuć się „dobrym Francuzem” niż „dobrym antyrasistą”. Tymczasem polityka gospodarcza prawicy pozostaje całkowicie w zgodzie z tą prowadzoną przez struktury europejskie i zainicjowaną przez lewicę oraz Zielonych. Na obydwu scenach – europejskiej i aksjologicznej – wygrywa prawica, jednak to lewica wybrała pole walki, na którym mogła tylko przegrać.

Wszystkie ruchy polityczne, które odnoszą sukces muszą spełnić jeden warunek: muszą wierzyć w to, co głoszą. Na prawicy to nie „śliscy” konserwatyści, jak nazywała Margaret Thatcher swoich mniej lub bardziej Keynsofskich współpracowników, wygrali, lecz zwolennicy twardej prawicy. Jeżeli wszystko, co robi lewica sprowadza się do apelowania o bardziej umiarkowaną prawicę, to nie ma ona żadnych szans na zwycięstwo. Aby to zmienić, trzeba powrócić do tego, co stoi u podstaw konfliktu między prawicą a lewicą, i nie chodzi tu o „wartości”, w szczególności nie o feminizm i antyrasizm, które nowoczesna prawica jest skłonna zaakceptować, ale o kwestię centralną – kontrolę nad gospodarką.

Liberalni myśliciele XVIII w. pragnęli społeczeństwa złożonego z małych niezależnych producentów. W tym kontekście pojęcie „wolnego rynku” było ze wszech miar sensowne, podobnie jak wrogość wobec państwa feudalnego i Kościoła. Jednak wraz z rozwojem wielkiego przedsiębiorstwa, produkcja stawała się coraz bardziej uspołeczniona, co podważyło uzasadnienie dla prywatnej własności środków produkcji. Fundamentalna idea socjalizmu polega na tym, że od momentu, kiedy proces produkcji jest de facto uspołeczniony jego kontrola winna także być uspołeczniona, przynajmniej jeśli chcemy zrealizować postulaty emancypacji wysuwane przez klasyczny liberalizm.

Jeśli środki produkcji oraz, jak to się dzieje w XX w., także środki informacji znajdują się w rękach nielicznych, to właśnie ci nieliczni dysponują ogromną władzą w stosunku do reszty społeczeństwa, nie różniącą się zbytnio od władzy feudalnej. Prawdziwymi sukcesorami klasycznych liberałów są dzisiaj zwolennicy socjalizmu, natomiast ci, którzy określają się w dzisiejszej Francji (i daleko bardziej w Polsce – przyp. red.) mianem „liberałów” to w istocie adepci pewnej formy tyranii, tyranii pracodawców, i na dodatek brutalnej formy etatyzmu wyrażającej się w amerykańskiej dominacji militarnej nad resztą świata.

Socjalizm, o którym mowa, jest tak oczywistą odpowiedzią na problemy związane z rozwojem kapitalizmu, że fakt braku debaty na jego temat świadczy dobitnie o efektywności systemu indoktrynacji, nazywanym w naszych społeczeństwach „edukacją” i „informacją”. Zagadnienie socjalizmu nie ma nic wspólnego z kryzysami kapitalizmu ani ze zniszczeniem (rzeczywistym lub domniemanym) środowiska naturalnego, ani wreszcie z zanikiem (rzeczywistym lub domniemanym) klasy robotniczej. Przeciwnie, ponieważ fundamentalną aspiracją człowieka jest kontrola nad własnym życiem, to problem nie znika wraz ze wzrostem poziomu życia i nie wymaga żadnej katastrofy (takiej jak obie wojny światowe), żeby go podnosić. W istocie rzeczy im bardziej nasze biologiczne potrzeby są zaspakajane, tym silniej nasze specyficznie ludzkie potrzeby autonomii i wolności domagają się zaspokojenia.

Skądinąd błędem jest sądzić, że socjalizm nikogo już nie obchodzi. Jest zgoła odwrotnie, jeśli jakieś postulaty lewicy cieszą się popularnością, to dotyczą one obrony usług publicznych i praw pracowniczych, czyli tego, o co toczą się dzisiaj rzeczywiste walki przeciw właścicielom kapitału. W istocie rzeczy, cały program zawarty implícite w konstrukcji europejskiej polega na zniszczeniu „socjaldemokratycznego raju” opartego na bezpieczeństwie socjalnym, powszechnej edukacji, publicznej opiece zdrowotnej, które stanowią

elementarną formę socjalizmu, a cieszą się olbrzymią popularnością.

Fakt, że perspektywa socjalizmu niemal całkowicie zniknęła z dyskursu politycznego, odciska niestety swoje piętno na konkretnych walkach. Jest istotna różnica między walką przeciw władzy pracodawców, którą traktuje się jako nieprawomocną, nawet gdy chodzi o realizację celów „krótkoterminowych” a oskarżaniem o nadużycia władzy, które uznajemy za prawomocne. Na tym polegała różnica pomiędzy reformą niewolnictwa a jego zniesieniem, między oświeconą monarchią a republiką, między zarządzaniem koloniami przez tubylczych kolaborantów a dekolonizacją.

Liberalni myśliciele nie odmawiają sobie krytykowania Marksa, zauważając, że przejście do socjalizmu nie nastąpiło zgodnie z jego przewidywaniami w rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Przyczynkiem do odpowiedzi dlaczego się tak nie stało jest to, że nasz system jest nie tylko kapitalistyczny; jest on także imperialistyczny. Europa rozwinęła się dzięki obecności ogromnego hinterland. Żeby to zrozumieć, warto wyobrazić sobie przez chwilę, że Europa jest jedynym kontynentem wyłoniłym z oceanów i że cała reszta, Afryka, Azja, Ameryka zalana jest wodą. Nie byłoby w nim hodowli Czarnych, złota z Ameryki Łacińskiej i żadnej ziemi do zasiedlenia w Ameryce Północnej. Jak wyglądałyby nasze społeczeństwa bez stałego dopływu surowców, taniej siły roboczej w postaci imigrantów lub importu tanich towarów z krajów o niskich płacach, wreszcie bez stałego drenażu mózgów z Południa na Północ, co ratuje nasze podupadające systemy edukacyjne. Bez tego wszystkiego musielibyśmy drastycznie oszczędzać energię, stosunek sił pomiędzy pracownikami a pracodawcami radykalnie by się zmienił, a „społeczeństwo konsumpcyjne” nie byłoby możliwe.

Jeśli socjalizmu nie zrealizowano w XX w., to stało się tak w znacznym stopniu dlatego, że kraje, w których kapitalizm doprowadził do pewnego stopnia rozwoju kulturalnego i ekonomicznego, kraje, w których istniały pewne elementy

demokracji i które z tej racji powinny przekroczyć horyzont kapitalizmu, były jednocześnie krajami imperialistycznymi. Imperializm bowiem ma podwójny skutek; ekonomiczny – pozwala krajom dominującym przerzucać na kraje peryferyjne część potencjalnych kłopotów wewnętrznych; efekt podziału – polega na wykopaniu przepaści pomiędzy pracownikami na poziomie światowym, jako że pracownicy Zachodu, ciesząc się znacznie wyższym poziomem życia niż ich odpowiednicy z Południa, uzyskują w ten sposób wobec nich poczucie wyższości. Ma ono duże znaczenie w stabilizowaniu systemu jako całości.

W tej sytuacji wielka zmiana w XX w. polegała na dekolonizacji. Najpierw pozwoliła ona setkom milionów osób w Azji i Afryce zrzucić skrajnie rasistowską formę jarzma. Skutki tej zmiany rozciągną się bez wątpienia na wiek XXI i położą definitywnie kres epoce historycznej zapoczątkowanej „odkryciem” Ameryki. Reperkusje tego kresu będą kluczowe dla naszych społeczeństw, które będą zmuszone zrewidować swój sposób funkcjonowania, gdy pozbawione zostaną uprzywilejowanej pozycji w ramach systemu imperialnego. Warto nazwać sprawy z pełną brutalnością, Chińczycy muszą dziś sprzedać miliony koszul, żeby kupić Airbusa, ale kto wyprodukuje nasze koszule, kiedy oni nauczą się robić Airbusy?

Można więc oczekiwać narastania konfliktu pomiędzy tymi, którzy dzięki kontrolowaniu kapitału mogą wykorzystywać siłę roboczą w Azji i są dzięki temu wygranymi globalizacji, a przytłaczającą większością populacji Zachodu, która korzyści tych nie odnosi. Żyjąc tutaj jest zmuszona do sprzedawania własnej siły roboczej za cenę, która nie jest już konkurencyjna na rynku światowym. Powoduje to coraz więcej „wykluczeń”, narastający kryzys państwa opiekuńczego, a także powrót walki klas w zgoła nowej postaci.

Autonomizacja Południa następuje także na innych płaszczyznach. Stany Zjednoczone tkwią w irackiej matni wojny, której nie mogą wygrać, lecz z której nie mogą się zrećźnie wyplątać bez porzucania swych imperialnych ambicji. W kwestii

nuklearnych ambicji Iranu kraje Zachodu muszą się z nimi pogodzić albo rozpętać apokaliptyczną wojnę. Dochodzi do tego symboliczna, acz bolesna druga porażka Izraela w starciu z Hezbollahem. Zwycięstwa wyborcze i militarne Hamasu pokazują, że droga współpracy części Palestyńskich elit z Izraelem skończyła się całkowitą porażką. Wszystkie te nieoczekiwane wydarzenia wywołały poważny kryzys wiarygodności ośrodków władzy na całym świecie.

Główny problem współczesnej Europy polega na tym, że musimy przystosować się do schyłku, nie tego symbolicznego w relacji do Stanów Zjednoczonych, ale do tego całkiem rzeczywistego w stosunku do krajów Południa. Amerykańska klasa rządząca próbuje utrzymać hegemonię przy użyciu siły, a porażki tego projektu pogłębiają jedynie kryzys imperium. Tymczasem europejska prawica wciąż roi sobie, że naśladowanie Ameryki to klucz do rozwiązania naszych problemów. „Radykalna” lewica ignoruje zagadnienie schyłku i broni w istocie, pomijając jej retorykę, klasycznej Keynsofskiej polityki socjaldemokratycznej, której możliwości globalizacja znacznie ograniczyła.

W krótkiej perspektywie trzeba za wszelką cenę przeciwdziałać osunięciu się zachodnich społeczeństw we władzę amerykańsko-izraelskich fantazmatów wojny z „terroryzmem i islamo-faszysmem”. Niestety retoryce tej uległa we Francji zbyt duża część lewicy feministycznej, republikańskiej i laickiej, co wpisuje się w długą tradycję niezrozumienia przez lewicę zachodnią dla walk klasowych toczonych na peryferiach.

Nader często to z peryferii właśnie nadciągały zmiany. Rewolucja Październikowa i zwycięstwo Związku Radzieckiego nad faszyzmem odegrały gigantyczną rolę w dekolonizacji i budowaniu na Zachodzie „socjaldemokratycznego raju”. Zwycięstwo skolonizowanych ludów przyczyniło się do postępowych zmian w Europie lat 60. Jeśli ją zrozumiemy i uwzględnimy, także i obecna rebelia w Ameryce łacińskiej i na Bliskim Wschodzie może dostarczyć panującym okazji do nowych

przykrych konstatacji. A pozostałym stworzyć szansę na lepsze jutro.

Autor: Jean Bricmont

Tłumaczenie: Michał Kozłowski

Źródło: [„La Monde diplomatique” nr 9 \(19\) 2007](#)

O AUTORZE

Jean Bricmont jest profesorem fizyki teoretycznej na uniwersytecie Louvain (Belgia). Napisał m.in. *Imperialisme humanitaire* (Aden, Bruksela 2005) oraz (z Julie Franck) *Cahier de l'Herne* o Noamie Chomskym. Pracuje nad książką krytykującą moralizatorską lewicę.